

mu wracać do chorej siostry. Może zapomniał obaw swoich o nią wśród wzruszających przejść obecnej chwili.

— Czy pan nie próbował otworzyć drzwi frontowych?

— Na co? Wiedziałem, że są zamknięte.

— A okno? Ono też przypuszczalnie musiało być zamknięte?

Zarumienił się silnie, gorączkowo.

— Będziecie mnie panowie mieli za ulicznika, albo za coś jeszcze gorszego! — zawołał. — Ja znałem to okno, ja już nieraz tamtędy wchodziłem... Można to okno otworzyć końcem szczyryka. Rachowałem na to, że tamtędy wejść.

— To potwierdza opowiadanie pana Ranelagh — zauważył Mr. Fox, zwracając się do doktora Perry. — On powiada, że znalazł okno otwarte, gdy zbliżył się z zamiarem uciekania tamtędy.

Artur Cumberland nie poruszył się nawet.

Mr. Fox znów zwrócił się do niego.

— Było tam sporo tych butelek, wyniesionych z piwnicy; z jakie pół tuzina zostało na stole w kuchni. Dlaczego zadałeś panu sobie trud wynoszenia po schodach aż tylu?

— Ponieważ w chwili mojej nie policzyłem się z możliwością. Myślałem, że uniosę tyle, ile obejmę, ale to było niemożliwe. Zrozumiałem to, gdy sobie przypomniałem, jak daleko będę musiał iść i dlatego większą część zostawiłem na miejscu.

— Jakto, przecież pan miałeś sanki i mogłeś jechać?...

— Ja... Ja nie miałem sanek.

Kosztowało go widocznie to zaprzeczenie. Poblady i już ta bladeść nie zesłała z jego twarzy przez cały przeciąg dalszego przesłuchania.

— Nie miał pan sanek? Jakżeż więc zdążył pan do domu na czas, by wrócić na Cuthbert Road na wpół do dwunastej?

— Nie wracałem wcale do domu. Poszedłem prosto przez teren golfowy. Gdyby świeży śnieg nie był upadł, znaleźlibyście moje ślady aż do Cuthbert Road.

— Gdyby świeży śnieg nie był upadł, całe dzieje tej nocy w niecałą godzinę byłyby nam wiadome. W jaki sposób nosił pan te butelki?

— W kieszeniach paltota. W tych kieszeniach — odbu kwał, trzepnąwszy rękami po obu bokach.

— Czy śnieg już zaczynał padać, gdy pan wychodził z klubu?

— Nie.

— Czy było ciemno?

— Bynajmniej. Było jasno, jak za dnia, inaczej nie byłbym się tak prędko przedostał przez teren golfowy.

— Prędko? Jak prędko?

Mr. Fox spojrzał na doktora Perry, a Sweetwater wysunął się naprzód ze swego kąci.

— Nie wiem. Nie rozumiem tych pytań — odpowiedział Artur Cumberland pochmurnie.

— Siedzę pan szybko. I nie oglądał się pan wcale?

— Ja to, czy się nie oglądałem?

— Siostra pańska zapaliła świecę w małym pokoiku, w którym płaszczyk znalazł się. To światło musiało być widoczne z terenów golfowych.

— Nie widziałem żadnego światła.

Odpowiadał meledwie szorstko. Przedstawiał się teraz jak można najgorzej.

Zadano mu jeszcze kilka pytań, ale te już były mniej ważne. Najważniejsza część badania była już skończona.

Dr. Perry zn czo spojrzał na wyższego sędziego śledczego, który palcami trącając w stół, wahał się przez chwilę, aż wreszcie zwrócił się znów do Artura Cumberlanda.

— Chce pan wrócić do siostry? Może pan wrócić. Już dziś dłużej fatygować pana nie będę. Pańskie sanki czekają zapewne?

Młody człowiek skinął głową a powstając z wolna, spojrzał na obu sędziów badawczo; nie uszło to czujnego oka Sweetwatera. Nie okazywał już teraz gniewu, ani nawet niecierpliwości. Chciał coś powiedzieć, ale nie dosłyszał i ruszył ociężale, ze puszczoną głową.

Patrzyli za odchodzącym, milcząc, tak jak i on. Doktor Perry chciał coś powiedzieć, ale i jemu to nie szło. Gdy młodzieniec nacisnął klamkę i drzwi

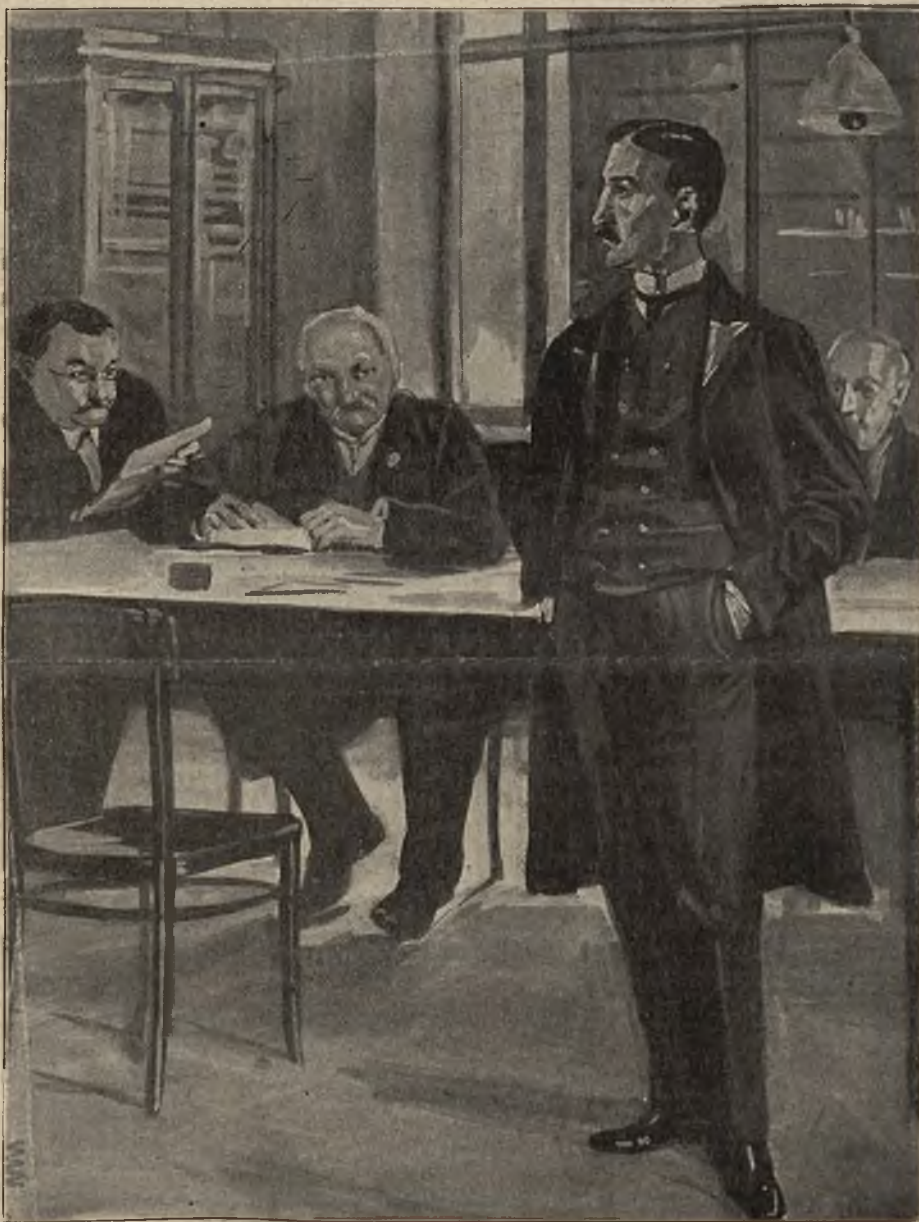
otworzył, odetchnęli wszyscy lżej, jednakże bacznie zaraz skupili uwagę, gdyż odwrócił się nagle w progu i dodał tę ostatnią uwagę:

— Co to panowie mówili o jakiejś butelce z specjalną etykietą, którą znaleziono w pobliżu naszego domu? To nie może być. Chyba że tu ktoś panom wypłatał jakiegoś figla. Ja sam wyniosłem te dwie butelki. Jedną widziecie panowie tutaj; drugą?... Ja sam nie wiem, gdzie może być druga, ale ja jej nie zanośiłem do domu. O tem was, panowie, zapewniam.

Jeszcze raz spojrzał, zmarszczył się i mruknął, co może miało oznaczać pożegnanie i poszedł.

Sweetwater wysunął się i zamknął drzwi; a potem wszyscy trzej skupili się w gromadkę, wyższy sędzia śledczy zaś cświadczył:

— Niechaj on lepiej zostanie w domu. Nie miałem serca ze względu na pana, doktorze Perry, przyspieszać rzeczy bez absolutnej konieczności. Ale co też to za gbur! Przepraszam pana, ale co też to za gbur, gdy się go porówna z tak niezwykle i pełnymi uroku siostrami!



Zasła w nim zmiana. Mówił spokojnie, z odcieniem ironii w głosie.

— I z takim ojcem — wtrącił dr. Perry.

— Tak — i z takim ojcem. Sweetwater, hm... co tobie? Wyglądasz niekontent. Czy uważasz, że ja w czemś chybiłem?

— Nie, proszę pana, tylko...

— No dalej, jakie „tylko“?

— Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko dobrze, a jednak... Może to we mnie samym leży... Jestem zmęczony zapewne. Czy jestem jeszcze na co panu potrzebny? Jeżeli nie, chętniebym się przespał. Dobra noc przespana postawi mnie na nogi.

— Idźżeż więc; to znaczy, jeżeli dr. Perry nie zażąda czego od ciebie.

— Nie. I ja także pragnąłbym zasnąć. — Ale dr. Perry nie wyglądał, jak gdyby mógł liczyć na sen tej nocy.

Sweetwater rozjaśnił twarz. Jeszcze parę słów porozumienia co do jutra i poszedł. Obaj starsi panowie siedzieli dalej, od czasu do czasu zamieniając jakieś słowo. Zegar na górze wybił godzinę. Po jakim kwadransie odezwał się telefon. Dr. Perry powstał i ujął słuchawkę. W ogromnej ciszy północnej godziny słyszeli obaj słowa mówiącego.

— Dr. Perry?

— Tak jest, słucham.

— Wrócił o trzy na dwunastą, bardzo wzbu-

rzony i blady. Natknąłem się na niego w dolnej sieni. taki był zły, iż myślałem, że mnie uderzy; ale zaklął tylko i przeszedł prosto do pokoju siostry. Czekając, aż wróci; a potem udało mi się widzieć się z pielęgniarką, która mi opowiedziała następującą rzecz:

Drżał cały, gdy wszedł, ale ona zapewnia, że nie pł. Odrzucał przystąpił do łóżka; siostra jednakże spała i on się przy niej nie zatrzymywał, tylko zbliżył się do pielęgniarki i zagadując o coś, zaczął się koło niej kręcić. Nagle poczuła jakieś szarpnięcie i spojrzawszy przedko, zobaczyła, że notatnik, który nosi na sznureczku przy pasku, opada na swoje miejsce. Podniósł go i prawdopodobnie przeczytał, co ona tam podczas jego nieobecności zapisała.

Rozgniewała się, ale on się tylko rozśmiał, widząc, że jest złapany i powiedział zupełnie śmiało. „Pani spisuje majaczenia mojej siostry. No dobrze, one mnie nie mniej obchodzą, jak panią i mam przeciw równe prawo czytać je, jak pani spisywać. Dzięki Bogu, są to bredzenia zupełnie niewinne! Sama pani przyznać to musi“. Nie odpowiedziała

na to nic, ale że odtąd książeczkę przed nim chować będzie, to pewna.

— A co on teraz robi? Czy idzie na noc do swego pokoju?

— Nie. Poszedł tylko zabrać stamtąd poduszkę. Będzie spał w alkuwie.

— Czy pije?

— Ani kropelki. Kazał sprzątnąć whisky i schować do kredensu. Słyszę, że jęczy chwilami, jak gdyby mu tego strasznie było brak, ale ani tyle co naparstek nie ubyło z butelki.

— Dobranoc, panie Hexford.

— Dobranoc.

Poszli po swoje paltoty. Dopiero wychodząc, wymienili parę słów:

— O dziesiątej jutro rano.

— O dziesiątej.

XVIII.

NAPISANE BYŁO NA TEM...

Wyższy sędzia śledczy miał słuszną rację. Sweetwater był nieswój. Choć się przespał, nic to nie pomogło. Nadrabiał miną podczas drugiej rannej konferencji z sędziami, ale gdy o drugiej znalazł się znów w okolicy klubu, nie było na twarzy jego tego, ożywienia, z jakim zwykł zawsze zabierać się do roboty.

Bystro jak zawsze jednak rozglądał się dokoła.

Oficerowie policyjni, stróżujący tam, znali go już teraz wszyscy i pozwalali mu chodzić i kręcić się, gdzie chciał. Dobrą godzinę przepatrzywał okolicę, badał teren gry w golf, rozpatrywał kierunki i odległości, szukał śladów; śnieg jednakże teraz, zdeptany nogami, przedstawiał jedną zlodowaciałą skorupę.

Sweetwater wszedł ostatecznie do domu i stanął w wąskim, długim oknie pokoju, skąd widok ogarniał tereny gry w golf.

Z brodą opartą na rękę, stanął przy oknie, rozpatrując przestrzeń przed sobą i szukając, czy nie znajdzie gdzie nowej wskazówki.

— Czegoś braknie — szepnął, obejrawszy się na sąsiedni pokój, w którym zaszła scena mordu. — I sam nie wiem, czego — rozmyślał dalej — i nie umiem sobie wytłómaczyć mojego niepokoju. Sędziowie obaj są zadowoleni, ale ja nie, jak gdybym był winien...

Tu otworzył okno, chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza i wychyliwszy się, spojrzał na tereny golfowe przed sobą, na sosny po obu stronach i wkońcu spojrzał na dół.

Drgnął i wychylił się bardziej. Co to tam widać wśród gałęzi dzikiego wina, o piętro niżej, tuż pod oknem. Trzeba się przekonać. Coś zaświeciło, coś, co tylko wypadając z tego okna, mogło się tam dostać. Nie mógł tego dosięgnąć ręką; trzeba będzie dostać się tam z dołu. I to nie będzie trudno...

Z tym zamiarem wypadł z pokoju. Za chwilę już był pod oknem. Wspiął się, wdrapywał się, czepiał się gałęzi, aż się tam dostał; odnalazł splot gałązek, tworzący jak gdyby gniazdo, widoczny z góry; zapuścił palec w głąb, wyciągnął mały przedmiot i wydawszy lekki okrzyk zdziwienia, spuścił się na dół, gdzie kilku ludzi, zwęszywszy coś ciekawego, czekało już na rezultat.

(Ciąg dalszy nastąpi).